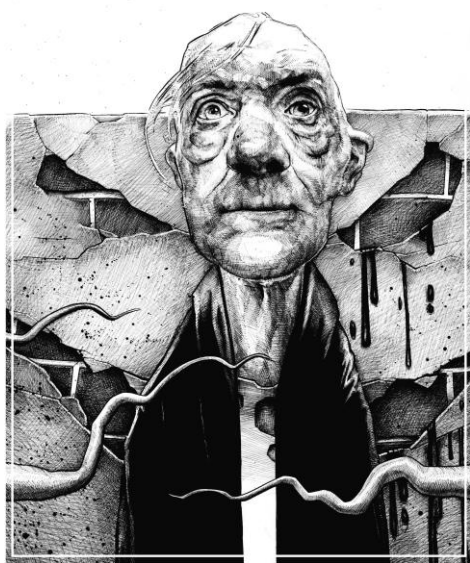


Fragmenty wybranych opowiadań

Zagłada ulicy Wyobraźni, Adam Kubacki



O szarym zmierzchu, gdy ostatni już utknął, zajmując wyznaczone mu miejsce, wszyscy scalili się, a zarazem rozcapierzyli niczym zachłanne, żarłoczne pnącza. Wpuścili palce we wszelkie szczeliny, wypełnili je całkowicie swym czuciem, złali się w jedno z gipsem i sztukaterią, objęli każdy detal, każde pęknięcie, pączkowali unerwionymi pędami, by tym dokładniej przylgnąć do fasad budynków. Przywarli do okien, framug, szorstkości tynków i gdy już nic więcej nie dało się ocalić, rozległo się wielkie, pośpieszne dudnienie. To serca łomotały, pracując z najwyższym wysileniem, skrzypiały panewki w stawach, mięśnie zbijały

się w suche, skręcone wysiłkiem powrozy. I wtedy, gdy serca już niemal ustawały, gdy krew w żyłach zaczynała płynąć w przeciwną stronę, gdy masa ludzka upojona w potężnym wysiłku wydobywała z siebie drżenie tak dosadne, jakby to sama ziemia trzęsła się w nieopanowanej febrze, wtedy coś pękło w głębi ziemi, głucho – słysząc było wyraźnie ten krótki, niski dźwięk, jakby zrywanego korzenia, i ulica zaczęła się powoli się wznosić. Chwila skupienia, chwila ogarnięcia wszystkich swoich sił i woli sprężgniętej w jedno ognisko i z krzykiem wyrwanym razem z trzewiami ulica uniosła się na barki tragarzy, powstała i zaczęła maszerować! Sunęła chwiejnym, tysięcznym krokiem, kolebiąc się z boku na bok, zataczając, lecz wciąż zachowując kierunek, brnęła wytrwale po wertepach, zostawiając za sobą wstęgę przeoranej, zdeptanej na skałę ziemi, z której gdzieś sterczała pogięta latarnia lub kawał przerdzewiałej rury. Ulica porzucała stare miejsce, nazbyt już splugawione, by dało się tam żyć, odwracała się od śmierdzących hałd przeżutych odpadków, by zwrócić czoło ku mniej zniszczonym rejonom. (...)

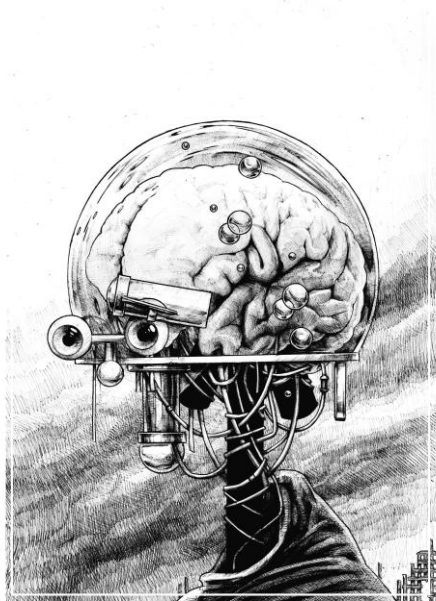
Miastośnienie

Jędrzej Burszta



„Bloki zasłoniły nam zaćmienie”. Ciemny całun opuścił się na miasto jak wysnuta pajęczyna, oblepiając budynki ciężkim, smolistym powietrzem, które przyjęło półpłynną konsystencję; zaskoczeni przechodnie przemykali chodnikami, próbując dojrzeć cokolwiek ponad ścianami blokowisk wyzierających w niebo jak spiczaste wieżycy. Po raz pierwszy usłyszał o tym od zaszuszonego konduktora, na którego natknął się w opuszczonym wagonie. Zbudziło go zimno. Za oknem marcowa noc trwała nieporuszona, sześciopalczaste dłonie mrozu

obrysowały szybę gwiazdzistymi pęknięciami – dojrzał jeszcze nieodległe drzewo uginające się pod ciężarem śniegu, równie nieporuszone jak cały pociąg, dziesięciowagonowa lokomotywa utknęta gdzieś pośród anonimowych łąk. Zgrabiętymi dłońmi zapiął kurtkę i wyrżał na korytarz, wszędzie pusto, pozostali pasażerowie zmyli się, pozostawiając jedynie opary oddechów. Pamiętał dwie wystraszone siostry dzielące z nim przedział, ich gorączkowe szepty, kiedy myślały, że zasnęły. „Poznań blisko, już niedaleko, byleby się udało, mówią, że spory procent szans, że się przebijemy, tory nienaruszone, pruska robota...” Wtedy pomyślał, że niepotrzebnie panikują. (...)



Na wysypisku śmieci pomiędzy stosami metalowych odpadków i części zamiennych siedziała przygarbiona, zakapturzona postać okryta szarobrazowym habitem. Tytanową laską grzebała w ognisku, próbując podgarnąć resztki niedopalonych szmat i plastikowych butelek. Z mroku nocy wyłonił się zakonnik i usiadł na zardzewiałej osłonie kwazera zaimprovizowanej na ławkę.

– Podejdź do mnie, synu. Mam ci wiele do powiedzenia.

– Tak, mistrzu – przytaknął uczeń.

– Zaczęło się. Spełnia się starodawne proroctwo.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że koniec jest bliski.

– Mistrzu, boimy się. Magnetyczna fala dotrze do nas za kilka dni. Trzeba działać. Nie można siedzieć z założonymi rękami. – Uczeń otarł pot z czoła, widać było, że jest bardzo zmęczony i wyczerpany.

– Po to właśnie cię wezwałem, Moriarty. Miałem proroczy sen. Stwórca obiecał mi, że na czas kataklizmu zamieni mnie w bezcielesną istotę. Jednak w moim śnie nie widziałem was, moich uczniów. Dlatego jestem pełen obaw – głos mistrza stał się poważny.

Moriarty przybliżył się do kopącego ogniska, delikatna luna oświetliła jego oblicze. Organiczna tkanka porastała tylko fragmenty czaszki, reszta uzupełniona była metalowymi implantami. Elektroniczne oczy spoglądały martwym, nieobecnym wzrokiem na mistrza Zena. (...)